

Aleksandra Kalinowska

NA MOIM OSIEDLU

Skrzydła

Kiedyś uwierzyłam, że umiem latać i to tak całkiem na poważnie. By zaimponować dzieciakom z podwórka, którzy niekoniecznie chcieli się ze mną bawić, opowiadałam, jak to wieczorami unoszę się nad blokami i zaglądam do ich okien. Spotkało się to z wielkim sceptycyzmem zmieszonym z delikatnym przerażeniem, że może jednak to prawda. Aby zadać kłam niedowiarkom, moje sześciolatnie ja, postanowiło wszystkim to udowodnić. Potrzebne były oczywiście skrzydła. Bez nich się przecież latać nie dało. Pobiegłszy do babci poprosiłam o pióra. O dużą ilość piór. Okazało się, że miała ich aż trzy, zebrane gdzieś w lesie od nieuważnych ptaków. Trudno, trzeba było to jakoś załatwić inaczej. Na trzech piórach przecież nigdzie bym i tak nie poleciała.

Z babcinej piwnicy dostałam wielki biały styropian po telewizorze. Miałam w głowie obraz pięknych anielskich skrzydeł z białymi jak śnieg piórami, ale ostatecznie stary styropian też się nadał. Nie można wybrzydzać, jeśli chce się coś osiągnąć.

Problem pojawił się wraz z uświadomieniem sobie, czym te skrzydła wyciąć. W ruch poszedł nóż do masła i paznokcie. Nadmienię, że skrzydła miały onieśmielać wielkością i detalem. Ostatecznie były raczej dalekie od tej wizji, ale przynajmniej wielkość była dość imponująca.

Dwa dni później, skrzydła były gotowe na swój pierwszy lot. Grupa dzieciaków zebrała się pod blokiem, żeby na własne oczy wszystko zobaczyć. Założyłam na plecy dzieło moich zdolnych rąk i stanęłam na środku ulicy, aby móc się odpowiednio rozpędzić. Dobry start to podstawa. Zaczęłam biec.

Nie pamiętam dokładnie, jak bardzo się ze mnie w tedy śmiano, ale ja patrząc w niebo czułam, że naprawdę unoszę się między chmurami

Dinozaury

Wyobraź sobie, że pewnego dnia wychodzisz z bloku, a tam około trzydziestu kopców surowej ziemi rozmieszczonych w dziwnym szyku. To mistyczne zjawisko od razu zwróciło moją uwagę, mnie - przedszkolaka mającego ambicje zostać w przyszłości archeologiem.

Chwyciłam więc swoją plastikową łopatkę, weszłam na szczyt kopca i zaczęłam w nim drążyć dziurę. Po jakimś czasie odkryłam pierwsze znalezisko. Był to kawałek kości. Potem było jeszcze ciekawiej, ponieważ dalej była już cała kość. Ogromna kość. Za to kiedy znalazłam także długą szczękę z zębami to już wiedziałam na pewno: to musiały być dinozaury. Już widziałam te nagłówki w gazetach "Najmłodsza bohaterka świata nauki, dokonała niezwykłego odkrycia tuż obok swojego bloku". Wszyscy musieli się o tym dowiedzieć.

Inne dzieciaki, zainteresowane moim intensywnym kopaniem oraz zachęczone odkryciami, przyłączyły się do wykopalisk. Poszukiwania rozniosły się na jeszcze pięć kopców. Wszystkie znaleziska

wkładaliśmy do czarnych worków na śmieci, aby ich nie zgubić. Po rozkopaniu niezwykłych górek powstały w nich niecki, które zaczęliśmy przysposabiać do prezentowania naszych znalezisk. Tworzyliśmy prawdziwe ośrodki kultury, muzea, do których inne dzieci mogły przyjść i za okazaniem biletu-liścia z krzaka obok, podziwiać kości dinozaurów. Opiekunowie wystawy opowiadali chętnym zwiedzającym o znaleziskach. Ja natomiast, zajmowałam się reklamą całego wydarzenia, zaczepiając obcych ludzi, rozgłaszając, że niedługo przyjedzie telewizja i wszyscy będziemy sławni.

Telewizja nie przyjechała, nikt nie usłyszał o naszych dokonaniach. Za to tydzień później przyjechał walec i wszystko zrównał tworząc drogę i parking. Sąsiedzi nie zdawali sobie nawet sprawy, że parkowali samochody na drogocennych szczątkach prehistorycznych istot. Prawdziwi ignoranci.

Zaćmienie Słońca

W dniu zaćmienia Słońca wszyscy byli podekscytowani i chcieli je koniecznie zobaczyć. Każdy nosił ze sobą kawałek kliszy fotograficznej, aby móc wszystko dobrze widzieć i nie stracić przy tym wzroku, patrząc prosto w słoneczne światło. Ja również byłam nie mniej zafascynowana całym wydarzeniem. Czekałam na nie od dawna, a gdy ten dzień w końcu nadszedł, nie mogłam się doczekać. Kiedy jednak wstałam rano, okazało się, że pełne zaćmienie będzie dopiero popołudniu. Musiałam jakoś do tego czasu znaleźć sobie zajęcie. W tym czasie moją nową zabawą było budowanie piaskowego miasta na skraju kałuży i to właśnie na tej zabawie upłynął mi dzień.

W końcu nadszedł moment, na który ludzie na osiedlu, czekali od rana. Wszyscy zadzierali twarze w górę patrząc w niebo. Za to ja wlepiłam wzrok w ziemię, bo wielka kałuża właśnie zalewała piaskową metropolię. Musiałam wybrać, co w tamtym momencie naprawdę się dla mnie liczyło. Czy moje umierające właśnie miasto, które musiałam ratować, czy zaćmienie Słońca, które powtarzało się co sto pięćdziesiąt lat. "Poczekam na następne" - pomyślałam i wróciłam do kopania piasku.